NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 148·20 Marek, Półrocznie 296·40 Mk. Rocznie 592·80 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 3 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 4·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 6 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 15 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulicą Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień“, Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 12 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 5. lutego 1921. Nr. 6.

Pobratymstwo wojenne...



Szef misyi wojskowej francuskiej jenerał Niessel, dekoruje oficerów armii francuskiej na Placu Saskim w Warszawie. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Pobratymstwo wojenne.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

Jak pomiędzy poszczególnemi osobami, tak i między całymi narodami zadzierzgują się ściślejsze



Pobratymstwo wojenne: Jenerał Niessel dekoruje „Medaille militaire" wachmistrza 5 p. ułanów polskich. Wójcickiego za uratowanie życia majorowi francuskiemu w czasie ofensywy sierpniowej. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

węzły. Powodem ich przyjaźń i sympatya, albo też interes. Te pierwsze, oparte na idealniejszej podstawie, są daleko trwalsze i silniejsze, te drugie rozluźniają się w miarę tego, jaki obrót biorą interesy. Jeśli jednak złączy się sympatya wraz z interesem, związek taki rokuje jak najlepsze nadzieje trwałości i obopólnej korzyści.

Przykładem takiego sojuszu, opartego jedynie na interesie, było trójprzymierze. Początkowo zdawało się, że posiada ono niespożytą siłę i stanie się gwarancyą trwałego pokoju dla Europy, a tem samem i dla całego świata, pokazało się atoli, że już od samego zawiązania było ono fałszywie obmyślane i podyktowane interesem nie dla wszystkich sojuszników wspólnym. Wchodziła tu w grę i rasowa nienawiść, jaką Włoch żywi do Niemca. Nie przetrwało ono też zbyt długiego okresu i nie wytrzymało próby ogniowej, jaką miał się dlań stać wybuch wojny światowej. Interes lepszy dla siebie widziały Włochy nie przy swych sprzymierzeńcach, lecz gdzieindziej, poszły też za nimi, i jak się pokazało, nie wyszły na tem źle.

Również i tak potężna dziś Koalicya nie rokuje zbytniej trwałości, sojuszników zespolił bowiem tylko interes. Anglia od wieków patrzyła nieufnie na Francyę, niemniej i ze Stanami Zjednoczonymi ma niezałatwione dotąd rachunki. Stany Zjednoczone interesów swych nie mogą pogodzić z japońskimi, potrzeba tylko iskry, aby wybuch nastąpił. I dlatego to w łonie Koalicyi przychodzi ciągle do tarć i nieporozumień, które wygładzać musi dyplomacya, wzrastająca stale w potęgę, większą niż przed wojną. Interesy aliantów są rozbieżne, każdy z nich stawia je z reguły na pierwszem miejscu, z resztą zupełnie się nie licząc. Wytwarza to wzajemną nieufność i grozi zerwaniem przy najbliższej sposobności, w ślad też za tem i militaryzm, skazany pierwotnie na zagładę, nie schodzi z porządku dziennego, owszem, również jak dyplomacya, nie tylko utrzymuje się na dawnym poziomie, ale zatacza coraz szersze kręgi.

Tak zresztą bywa i w życiu codziennem. Jeżeli się złączy ze sobą dwu wspólników tylko dla interesu, przemyśliwują nad tem stale, w jaki sposób mogliby jeden drugiego oszukać i sam wyjść dla siebie z korzyścią.

Zupełnie jednak inaczej jest, jeżeli w grę wchodzi przyjaźń lub bodaj sympatya. Tu wspólnicy starają się sobie wzajemnie pomagać, a nie szkodzić, jeżeli zaś ponadto wiąże ich także i interes, trwałość spółki jest zapewniona o ile naturalnie nie wysunie się interesu na pierwsze miejsce, bo jest on w stanie poróżnić nawet i przyjaciół.

Sojusz polsko-francuski jest właśnie przykładem związku dwu państw, opartym na wspólnej sympatyi i wspólnym interesie, wzajemnej obrony przed wrogiem, który się rozsiadł między obu państwami i, niczem potworny polip, wyciąga swe macki na prawo i na lewo, szukając żeru dla siebie. Wróg to dla obu stron groźny, a sam zdrowy rozsądek mówi, że tylko wspólnemi siłami można mu dać radę. Interes jest więc rozumny i uczciwy, nie można się zatem obawiać, aby mógł poróżnić wspólników, których ponadto łączy ze sobą nieodawana, lecz prawdziwa sympatya.

Sympatye polsko-francuskie sięgają wiek wstecz. Przodkowie nasi czerpali tam kulturę Zachodu i przeszczepiali ją na swą ziemię, nici, łączące oba narody, wzmacniały się też coraz bardziej, a napięcie ich doszło do kulminacyjnego punktu w dobie Napoleona, w którym dziadowie nasi widzieli zwiastuna odrodzenia narodu. Nadzieje te zawiodły wprawdzie, gwiazda Napoleona zaczęła gasnąć przedwcześnie, jego zaś następcy o obietnicach nie pamiętali, nie było zresztą nikogo, ktoby przypomniał im o tem.

Nie przeszkadzało to jednak, że przyjaźń ta, wzmocniona jeszcze bardziej na tylu polach bitew, zmieniła się w prawdziwe pobratymstwo wojenne. W czasie naszych walk o wolność nie brakło w polskich szeregach francuskich ochotników, na odwrót spieszyli i Polacy chętnie pod sztandary drugiego cesarstwa, gdy mu zagrażały rosnące coraz bardziej w potęgę Prusy, ten wspólny wróg obu narodów.

Wspólnie przelana krew uświęcała i zacieśniała jeszcze bardziej dawne sympatye, a gdy wybiła godzina wybuchu wojny światowej, wielu z Polaków widziało znów we Francyi zapowiedź prawdziwej wolności.

Tym razem nadzieja ta nie zawiodła. Francya wyszła zwycięsko z zapasów z swym najzaciętszym wrogiem, a pomogli jej przy tem chętnie i Polacy.

A gdy po pogromie Niemiec ustalano granice państw Europy, oświadczyła się Francya otwarcie za silną i zjednoczoną Polską, która wspólnie z nią mogłaby trzymać niemieckiego potwora na uwięzi. Takie oświadczenie dyktował już dobrze zrozumiany i to wspólny interes.

A gdy na Polskę przyszły w sierpniu ubiegłego roku ciężkie czasy, Francya była jedyną, która w imię przyjaźni i wspólności interesów udzieliła nam czynnej pomocy, nie w tej może mierze, jak się spodziewaliśmy, w każdym razie wydatniejszej niż inni z przyjaciół.

I, tym razem na ziemi polskiej, polała się krew obu sojuszników, a węzły, łączące ich, zacieśniły się jeszcze bardziej. Polak i Francuz walczyli obok siebie, jak prawdziwi pobratymcy wojenni, wspólne ich usiłowania uwieńczył pożądany skutek.

W związku z temi wydarzeniami z sierpnia ubiegłego roku stoi też dekoracya wachmistrza polskiego 5. pułku ułanów, Wójcickiego, francuskim medalem *Medaille militaire*, za uratowanie wówczas życia francuskiemu majorowi de Mezesat. Honorową odznakę przypiął dzielnemu ułanowi w ubiegłym tygodniu w sposób uroczysty na Placu Saskim w Warszawie, szef francuskiej misyi wojskowej w Polsce, jenerał Niessel, dając przy tej sposobności wyraz uznania dla polskiego męstwa i poświęcenia.

Czterdziestolecie pracy pedagogicznej.

Każda budowla, jeżeli ma być trwałą, musi posiadać silne podwaliny, a pracy około ich założenia powinno się poświęcić jak najwięcej starania i troskliwości.

Jeżeli zatem szkoła ma się przyczynić do naszego narodowego odrodzenia, najważniejsza w tem rola przypadnie najniższemu stopniowi nauki, to jest szkole powszechnej. Zrozumieli to dobrze Niemcy i nie kryją się z tem bynajmniej, że szkoła w ich rozwoju narodowym spełniła swe zadanie, którys zaś z ich wielkich mężów oświadczył otwarcie, że wygranie wojny w r. 1871 zawdzięczają tylko nauczycielowi ludowemu. On w młode pokolenia wpoił uświadomienie narodowe i zamiłowanie do pracy.

Szczytnem, ale i trudnem zarazem jest posłannictwo nauczyciela. Pole do pracy roztacza się przed nim bardzo szerokie, ale też i odpowiedzialność ciąży na nim wielka. Nasz nauczyciel musi się wyrzec swego „ja" i umieć przystosować do tych, którzy jego pieczy są oddani, bo nic łatwiejszego, jak podciąć skrzydła młodemu duchowi, zrywającemu się dopiero do lotu i zwichnąć go w samem zaraniu życia.

Nauczyciel musi się swemu zadaniu oddać z po-



Pobratymstwo wojenne: Szef sztabu jen. Rozwadowski przypina „Krzyż walecznych" francuskiemu por. Cottinnandewi. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Dotychczasowa zagraniczna polityka włoska robi wrażenie polityki niezdecydowanej, niewiedzącej czego się chwycić, nie umiejącej zerwać ze starym porządkiem rzeczy, a bojącej się nowego. Tendencya, dążąca do unifikacyi polityki włoskiej, zwłaszcza w stosunku do Europy centro-wschodniej i Rosyi, należy do tendencyi krótkowzrocznych; wiadomą jest bowiem rzeczą, że polityka Lloyd George'a należy do kategoryi polityk. przystosowujących się do okoliczności w zewnętrznej swej formie a idących po wytkniętej linii obrony własnych przywilejów i praw specyalnych w formie wewnętrznej.

Być może, iż mylimy się — Crispi mawiał, że z dołu widzi się kwestye polityczne pod innym kątem widzenia, a z góry pod innym — mamy jednak wrażenie, że i z góry rezultaty praktyczne tej polityki już dziś negatywnie o niej świadczą.



Powitanie pani Mac Sviney w Ameryce: Owacyjne powitanie wdowy po irlandzkim narodowym bohaterze przez mieszkańców Waszyngtonu.

Powitanie pani Mac Sviney w Waszyngtonie.

Wdowa po zmarłym prawdziwie męczeńską śmiercią dzielnym burmistrzu miasta Corku w Irlandyi, pani Murrel Mac Sviney, nie pozostała dłużej w kraju. Opuściła tę tak piękną, ale i nieszczęśliwą zarazem ziemię, wybierając się do Ameryki, gdzie bawi tylu patryotów irlandzkich, wypędzonych wypadkami politycznymi ze swej ojczyzny.

Pani Mac Sviney, jak wogóle i cała rodzina wielkiego patryoty, który miłość dla kraju przypieczętował swoją śmiercią, jest też tak samo, jak i zmarły usposobioną wobec ciemięzców, pobyt zatem w Irlandyi, gdzie wrzenie wzmaga się z dniem każdym, byłby dla niej i przykry, przypominając niedawno przeżyte cierpienia, był także i niebezpieczny, narażając na prześladowania ze strony rządu angielskiego.

Dowodem, że tak rodzice, jak i rodzina Mac Svineya nie jest zbyt przyjaźnie usposobioną względem Anglików, są okoliczności, związane z pogrzebem byłego burmistrza.

Dnia 27 października b. r. złożono w Dublinie ciało burmistrza Corku do trumny. Przedtem jednak, stosownie do przepisów prawnych angielskich, musiało się odbyć śledztwo formalne, stwierdzające przyczynę śmierci. Sędzia zapytał żonę Mac Sviney'a: „Czem się zajmował mąż pani?" Odpowiedź brzmiała: „Był ochotnikiem armii irlandzkiej". Sędzia starał się uchylić tę odpowiedź żona zmarłego jednak uparła się przy niej, wobec czego w akcie zejścia została ona zapisana. Jest to pierwszy wypadek tego rodzaju w dziejach Anglii. Na pytanie: „Czy mąż pani chciał umrzeć?" — pani Mac Sviney odpowiedziała: „Nie chciał wcale śmierci i oświadczył, że musi wyjść z więzienia żywym, albo umarłym". Po otrzymaniu pozwolenia na pogrzeb, rodzina zmarłego umieściła na trumnie następujący napis: „Terencyusz Mac Swiney, 40 lat, dowódca pierwszej brygady Corku ochotniczej armii irlandzkiej, członek rewolucyjnego parlamentu irlandzkiego i burmistrz miasta Corku, zamordowany przez cudzoziemców w Brighton w Anglii, czwartego roku Republiki irlandzkiej".

Po złożeniu zwłok swego małżonka na spoczynek wieczny w ojczystej ziemi, w której obronie położył swe życie, choć nie na polu walki. ale niemniej zaszczytnie, wyjechała pani Murrel Mac Sviney do Ameryki, gdzie na każdym kroku spotyka się z dowodami współczucia i gorącego uwielbienia, jako żona bohatera narodowego, i to nie tylko ze strony bardzo licznie osiadłych tu Irlandczyków, ale też i innych narodowości, którzy w ten sposób chcą okazać sympatyę dla ciemiężonego narodu i nienawiść do ciemięzców, których rządy pamięta jeszcze zbyt dobrze wolna dziś Ameryka. A że nie musiały one być zbyt łagodne, stwierdza to lakoniczny, ale wiele mówiący napis na medalu państwowym dla Franklina: *Eripit ignem coelo, sceptrumque tyrannis.*

W Waszyngtonie przyjmowały panią Mac Sviney tysiące ludności wprost owacyjnie. Moment z owego powitania przedstawia zamieszczona w niniejszym numerze illustracya.

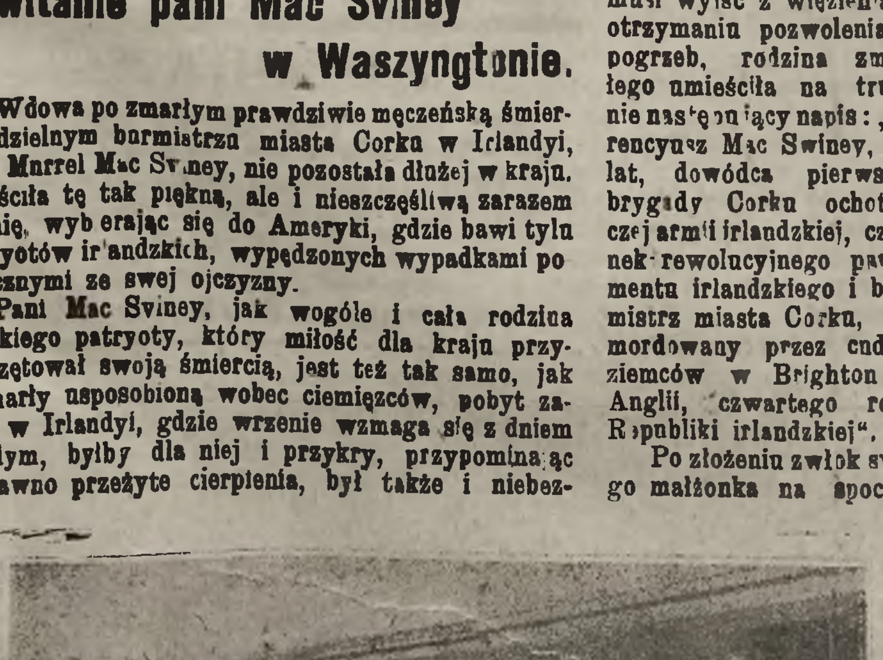
Nowy kierunek w Ameryce.

Gdybyśmy mogli zajrzeć w głąb duszy każdego z polityków, którzy niczem ów biblijny Piłat, umywają swe ręce, zapewniając, że wojny bynajmniej nie pragnęli. przekonalibyśmy się, że każdy parł do jej wybuchu, pragnąc jednak, aby ta toczyła się jak najdalej od niego, a on na niej mógł zrobić jak najlepszy interes. Taka Anglia na przykład starała się zawsze o doprowadzenie do wrzenia w bałkańskim kotle, a tam właśnie rozpoczęła się owa zawierucha, która wbrew oczekiwaniu, ogarnęła cały świat.

Najmniej może pragnęły wojny Stany Zjednoczone Ameryki północnej, nie mając nic przeciw temu, aby zrobić dobry interes, przystępując do niego narazie nie z orężem w dłoni, lecz po kupiecku, z ołówkiem. Dopiero gdy Francyi i Anglii zaczęło grozić poważne niebezpieczeństwo, zmieniły dotychczasowy kierunek swej polityki i wmieszały się czynnie do wojny, ale bynajmniej w obronie cywilizacyi, lecz zagrożonych swych interesów.

Kto powiedział „a", powiedzieć powinien i „b", jeżeli tego zwłaszcza interes wymaga. Likwidacya wojennych interesów dotąd nie nastąpiła, dawny system, któremu miała położyć kres wojna, bynajmniej się nie zmienił, kto silniejszy, ten tylko może swą wolę narzucić słabszemu.

Zatem stosując się do ducha czasu, postępuje dziś Anglia tak, jak to było dawniej w starej Europie, gdzie dyplomacya wichrzyła na wszystkie



Fiumeńskie echa: Opuszczający Rjekę legioniści wznoszą okrzyki na cześć D'Annunzia.



Nowy kierunek w Ameryce: Delegacya Stanów Zjednoczonych do republik południowo-amerykańskich na pokładzie statku „Mayflower".

się największe gromy, Niemcy, które bynajmniej nie zrezygnowały z chęci opanowania świata, postanowiły skorzystać ze sposobności i spróbować, czy się też przypadkiem nie uda uchronić od wiszącego nad nimi miecza Damoklesa, którym miało być ogólne ich rozbrojenie, wydanie i zniszczenie materyału wojennego, ograniczenie stanu czynnej armii i tym podobne zarządzenia, mające na celu zupełne zdławienie pruskiego militaryzmu.

Wogóle na całym świecie miało dojść do zupełnego rozbrojenia, spory zaś międzynarodowe miała załatwiać w sposób polubowny Liga Narodów. Sami jednak twórcy traktatu wersalskiego dali zły przykład, własnych swych zbrojeń nie ograniczając, owszem i wybitnie dalej prowadząc.

To dodało Niemcom śmiałości. Zaczęli niby to rozbrojenie, równocześnie zaś cały kraj pokrył się siecią ochotniczych organizacyi wojskowych, na oko wyglądających bardzo niewinnie, gdyż przeznaczonych jedynie do walki z bolszewizmem, w gruncie zaś rzeczy stanowiących kadry przyszłej armii niemieckiej, mogącej łatwo stać się niebezpieczną dla samej Koalicyi, głównie zaś Francyi. Równocześnie zniknęły gdzieś w sposób tajemniczy grube "Berty", amunicya i wszelki materyał wojenny, mający być wydanym Koalicyi.

Francya na te przygotowania wojenne Niemiec patrzyła z nieufnością i obawą, domagając się wykonania odnośnego punktu postanowień wersalskich rozbrojenia *Sicherheitswehry*, *Einwohnerwehry* i podobnych organizacyi; Anglia natomiast proponowała dalsze zwłoki, wskazując na rosnący stale w Niemczech ruch bolszewicki i konieczność obrony przed nim.

Była to woda na młyn niemiecki. Wszelkiego rodzaju „wehry" organizowano dalej, gromadzono broń i amunicyę, wymyślono nawet nowe systemy dział, a dla zamydlenia oczu reszcie Europy coraz głośniej płakano nad wzrostem bolszewizmu, obawą przed nim i t. d. Inscenizowano nawet komunistyczne zamachy na porządek publiczny, byle tylko uchronić się od wykonania postanowień traktatu.

W francuskiej Izbie deputowanych postawiono wobec tego zapytanie do rządu, w jakiem stadyum znajduje się te sprawy. Ponieważ było to bezpośrednio przed zebraniem się Rady Najwyższej, prezydent Leygnes prosił o cofnięcie zapytania aż do czasu, gdy się ona zbierze, gdy to jednak skutku nie odniosło, wysnuł z tego konsekwencye, uważając to za dowód braku zaufania Izby i podał się do dymisyi wraz z gabinetem.

Następcą jego na fotel premiera był Arystydes Briand, równocześnie przewodniczący aliancklej Komisyi dla odszkodowań wojennych.

Dziś Izba deputowanych ma już odpowiedź. Rada Najwyższa zgodziła się na to, że termin rozbrojenia Niemiec nie może być nadal odraczany, a wobec ogólnej zgody musiała ustąpić i Anglia. Na wypadek, gdyby Niemcy znów chciały się wykręcić sianem, zagrożono im daleko idącemi represyami.

Wobec tego aliancka komisya dla rozbrojeń, która dotąd nie dawała znaku życia, nabiera swego znaczenia. Na jej czele stoi jenerał francuski Nollet, komisarz dla rozbrojenia Prus i Bawaryi, który w tych dniach przybył do Berlina.

W Niemczech zwycięstwo zapatrywań francuskich w Radzie Najwyższej wywarło deprymujące wrażenie... Niemcy, widząc, że usuwa się im z pod nóg ostatnia deska ratunku, grożą, że bolszewizm może się przenieść i za ich granice... Zdaje się, że im to jednak już nie pomoże!...

Spadek po ś. p. Austryi.

Śmierć czyjaś wywołuje rzecz oczywista żal u tych, którzy za zmarłą osobą w bliższych zostawali stosunkach, dla innych stanowi natomiast po-



Francya a rozbrojenie Niemiec: Jenerał Nollet, kontrolor z ramienia Koalicyi „Einwohnerwehry" w Prusiech i Bawaryi.

żądaną, a nieraz długo oczekiwaną chwilę podziału spadkiem po niej pozostałym.

Tak jest w życiu codziennem, tak też i w polityce.

S. p. Austrya zgasła na uwiąd starczy, zgon jej nie wywołał przecież zbyt wielkiego żalu, zwłaszcza że to, co się stało, było już oddawna przewidziane, a „weseli spadkobiercy" oczekiwali bardzo niecierpliwie na swe cząsteczki.

Spadek ten, którego rozdawnictwem kieruje Rada Najwyższa, nie był zbyt obfity. Starowina nie była zasobna, żyła przeważnie kredytem, jakiego jej dobrzy ludzie użyczali, nic też dziwnego, że pozostały przeważnie długi, któremi też trzeba się sumiennie podzielić. I o ile o bardziej realne części spadku, więc o nabytki terytoryalne, materyał wojenny, kolejowy itp. ubiegali się spadkobiercy bardzo energicznie, o tyle znów, gdy kolej przyszła na długi, gotów je był każdy wspaniałomyślnie i bezinteresownie odstąpić innemu. Spadek niemiecki jest bardziej ponętny, stanowią go bowiem zamorskie kolonie przedewszystkiem, amatorów zaś zgłaszających się do sukcesyi, jest taka mnogość, że bardzo łatwo mogłoby przyjść do tego, że spadkobiercy wezmą się za łby przy podziale.

I dlatego też Rada Najwyższa z ostatecznem załatwieniem tej sprawy bynajmniej się nie spieszy.

Z austryacko-węgierskiego spadku dość pożądanym podarunkiem była flota wojenna i handlowa obecnej Austryi, jako nie mającej dostępu do morza zupełnie niepotrzebna. Rozdzielono ją między interesowanych, a lwią jej część zabrał najbliższy sąsiad i dawny spólnik z trójprzymierza, Włochy.

Między innymi przypadł im były austryacki okręt, który obecnie znajduje się w porcie nowojorskim. Uroczyste zawieszenie na nim trójbarwnej flagi włoskiej odbyło się z końcem ubiegłego miesiąca w porcie nowojorskim. Ceremonii tej, wobec tłumu ciekawych, między którymi było bardzo wielu Włochów, mieszkających stale w Ameryce, dopełnił włoski konsul Dr. Chevalier Marioni, ściśle według ceremoniału przepisanego, poczem okręt pod włoską flagą rozpoczął podróż do Europy. Dla Włochów, mających z byłą Austryą stare rozrachunki, była to chwila nadzwyczaj radosna.

Z upadkiem Austryi pozbyły się Włochy swego najgroźniejszego wroga, z którym, o ironio!... w jednym mieściły się związku, gdyż tak polityka wymagała.

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

NADESŁANE.

„HUMOR POLSKI"

Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny

DO NABYCIA W CAŁEJ POLSCE

Cena Mrk. 7.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków Kazimierza W. 95 (Nowa Wieś).



Francya a rozbrojenie Niemiec Pierwsze posiedzenie członków nowego gabinetu A. Brianda (X) w sali ministerstwa robót publicznych w Paryżu.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

29 I.

Pomalu wyraz niepokoju i bólu zanikać zaczął na twarzy młodej kobiety. Zamknęła zupełnie oczy i uśmiech pogodny zjawił się na jej ustach.

Markus Henner powstał wówczas, oddalił się o kilka kroków i spojrzeniem pełnem podziwu objął twarz uśpioną.

Pogrążona w tym śnie letargicznym, Eliza Jackson, stała się naprawdę piękną. Głowę pochyliła lekko na prawe ramię, twarz jej delikatna nabrała odcienia mlecznej białości i poprzez przeźroczystość cienkiej skóry, przebijać zaczęły lekkie różowe kolory.

Z pod warg jej pół otwartych w słodkim uśmiechu, zabłyszczały drobne, białe zęby.

Markus Henner wpatrywał się długą chwilę w uśpioną kobietę, poczem znowu ujął jej ręce.

Eliza Jackson oddała mu uścisk i uśmiech na jej twarzy pogłębił się jeszcze.

— Emilu! Emilu – szepnęła słabym głosem przepojonym serdecznością.

Twarz Marcusa Henner zadrgała kurczowo pod napływem silnego, jakiegoś wzruszenia. Po dwakroć nachylił się nad twarzą Elizy, lecz wyprostował się natychmiast i wycofał cokolwiek.

— Emilu, kocham cię – szepnęła młoda kobieta, uśmiechając się ciągle.

Wówczas dziwny wyraz zmieniający rysy Markusa zaznaczył się jeszcze silniej. Nie mogąc już dłużej panować nad sobą pochylił się raz jeszcze nad Elizą i długim pocałunkiem zawisł na jej ustach. Zaledwie zdołał cofnąć się trochę z oczami błyszczącemi namiętnością, kiedy zapukano do drzwi.

— Kto tam? zapytał lekko drżącym głosem.

— Ja, John.

— Możesz wejść.

Służący wszedł i ujrzał zaraz młodą kobietę uśpioną z twarzą spokojną i uśmiechniętą, piękniejszą niż kiedykolwiek.

— Pan ją uzdrowił — nieprawdaż, Ekscelencyo! zawołał uniesiony radością.

Tak, ona w to wierzy — odparł Markus Henner odwracając głowę.

Po chwili jednak, zbliżył się do młodej kobiety i ujął jej rękę. Wydawał się teraz bardzo spokojnym i zrównoważonym, lecz w oczach jego tliły się jeszcze namiętne, żywe blaski.

— Elizo Jakson? wymówił głośno.

— Doktorze?

— Czy słyszy mnie pani?

— Tak.

— I rozumie mnie?

— Tak.

— Czy chce pani być mi posłuszną?

— Tak.

Spać tu pani będzie przez piętnaście minut.

— Dobrze.

— Kiedy się pani obudzi mnie tu już nie będzie. Odejdzie więc pani przekonana o swojem wyzdrowieniu.

— Dobrze.

— Jeżeli w ciągu tych dwóch dni, w których musi mi pani być posłuszną, obudzą się w duszy pani pierwsze wątpliwości, trzeba natychmiast odpędzić od siebie te myśli.

— Dobrze.

— Powie pani mężowi i wszystkim znajomym, że pani już odzyskała zdrowie i czuje się zupełnie dobrze.

— Dobrze.

— Powrócić tu trzeba za dwa dni — rozumie pani – kończył Markus Henner nisko pochylając się nad młodą kobietą.

— Tak, rozumiem.

Wszystkie odpowiedzi brzmiały głosem pełnym i czystym. Doktór raz jeszcze musnął długimi palcami skronie Elizy spojrzał na nią po raz ostatni i odstąpił o kilka kroków.

— John patrzał na oboje z niemym podziwem.

— To cud! to cud prawdziwy! zawołał w końcu.

— Bóg jest wielki! odparł szeptem Markus Henner i podszedł do porzuconego pergaminu.

— Johnie – zwrócił się do służącego. Ja idę do pani Maryi, ty zaś pozostań tu, aż do przebudzenia się Elizy Jakson, którą odprowadzisz następnie do domu. Jeżeli nadejdą jakie listy złóż je na mojem biurku.

— A „tam" czy je zanieść nie mogę!

— Nie! pod żadnym pozorem!

— Wymawiając te słowa Markus wsunął mały kluczyk w rzeźbiony ornament biblioteki, której połowa rozstąpiła się natychmiast jak drzwi i znikł w niej, podczas kiedy tajemne przejście zamknęło się za nim. Znalazł się wówczas w obszernym przedpokoju swego mieszkania.



Nie mogąc już dłużej panować nad sobą pochylił się jeszcze raz nad Elizą i długim pocałunkiem zawisł na jej ustach.

Przedpokój ten był w tej chwili pusty, puste też były cztery pokoje ciągnące się za nim, przepełnione kwiatami, kosztownymi meblami, obrazami, i przedmiotami sztuki.

Jednakże z całego tego przepychu i bogactwa, bijącego z każdego przedmiotu i kąta, wiało coś niechętnego i zimnego, tak, jakgdyby brak obecności kobiecej zmroził tu wszelkie cieplejsze tchnienie.

Równym, powolnym krokiem, Markus Henner przeszedł te pokoje, następnie długą, oszkloną oranżeryę, wypełnioną najrzadszymi kwiatami i roślinami, w której rozstawiono kilka złoconych klatek z rozmaitem ptactwem i olbrzymim akwaryum z rozlicznemi rybami. Poza oranżeryą był pokój sypialny, również pusty.

Dziwnym jednak objawem, w tym pokoju, który tak zdradzał obecność kobiety, niebyło ani jednego kwiatu w wazonie, nad łożem nie wisiał żaden obraz religijny, ani krucyfiks, żaden drobiazg nie stroił stolików. I jeszcze rzecz inna uderzała w tym pokoju na pierwszy rzut oka. Duże szerokie okna były szczelnie zasłonięte potrójnemi zasłonami: jedna z jedwabiu białego, druga z koronki, trzecia zaś z adamaszku haftowanego srebrem, tak, że z zewnątrz nic dojrzeć nie było można. Pozatem jeszcze baczniejszy obserwator dostrzedz by mógł, że okna i szyby były hermetycznie zabezpieczone.

Czyżby więc pokój sypialny tej nieobecnej księżniczki miał być jej więzieniem?

Markus Henner długą chwilę stał na środku pokoju. Ściągnięte jego brwi, wskazywały, że pochłania go jakaś myśl uporna.

Otrząsnął się w końcu, spojrzał w koło siebie i gorzki uśmiech pojawił się na jego ustach. Poczem postąpił parę kroków naprzód, uchylił ciężką portyerę zasłaniającą drzwi ukryte i poruszył klamkę. Ale drzwi nie poruszyły się. Musiały być na klucz zamknięte.

— Tak zawsze bywa – szepnął półgębkiem.

Zapukał lekko. Żaden głos nie odezwał się z wewnątrz. Markus westchnął ciężko i zapukał raz jeszcze.

Napróżno!

— Maryo! wymówił przyciszonym głosem, pochylony nad drzwiami.

Nie było żadnej odpowiedzi.

— Maryo! Maryo! Czy słyszysz mnie? — powtórzył głośniej.

I tym razem nie było odpowiedzi.

— Maryo! dlaczego mi nie odpowiadasz? prosił błagalnie.

Milczenie trwało dalej.

— Czy mam wyważyć te drzwi? Wiesz, że jestem zdolny to uczynić – zagroził uniesiony gniewem. Dał się słyszeć szmer kroków. Ktoś zbliżał się do drzwi.

— Maryo! otwórz natychmiast! zawołał Markus rozkazującym głosem.

— Czego żądasz odemnie, Markusie Henner – wymówił cichy głos za drzwiami.

— Chcę cię widzieć, mówić z tobą.

— Nie! brzmiała kategoryczna odpowiedź.

— A jednak ja z tobą widzieć się muszę!

— Pozostaw mnie w spokoju, Markusie Henner – wyszeptał zmęczony, złamany głos.

— Nie chcę naruszać twojego spokoju. Muszę z tobą mówić. Otwórz mi Maryo!

— Nie otworzę – odparł smutny stanowczy głos.

— Musisz!

— Maryo! Dlaczego drażnisz mnie w ten sposób? Jesteś przecież w mojej mocy, wiesz o tem!

— Nie otworzę!

— A więc nie teraz, lecz choćby jutro, pojutrze. Cierpliwość moja silniejsza jest od twojego uporu.

Jęk stłumiony dobiegł z drugiej strony drzwi.

Na jęk ten Markus Henner pobladł silnie.

— Maryo! Maryo! zawołał cichym głosem.

— Nie odszedłeś jeszcze Markusie?

— Nie odejdę ztąd. Czekam, aż otworzysz. Uczyń to Maryo! Nie mam zamiaru cię dręczyć. Muszę ci powiedzieć coś, co cię dotyczy.

— Co mnie dotyczy? powtórzył głos kobiecy z większą już siłą.

— Tak.

— Co takiego?

— Otwórz mi, a dowiesz się.

— Nie oszukujesz mnie Markusie?

— Nie oszukuję cię, Maryo.

— Jesteś przecie mistrzem w oszukiwaniu ludzi, Markusie Henner, wymówiła kobieta ostrym tonem.

— Maryo, nie chcę ci uczynić żadnej przykrości. Błagam cię, uspokój się. Muszę z tobą pomówić.

— O czem, o kim?

— O osobie, którą kochasz.

Drzwi lekko zaskrzypiały, jakgdyby musiały znieść ciężar opierającej się na niej osoby.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

31 I.

Ta dwuznaczna sytuacya wobec ludzi i siebie, była dla Stasi bardzo przykra, tembardziej, że nie widziała sposobu wydobycia się z niej.

Ale teraz nadszedł ten list Grodzickiego i zmiótł od razu wszystkie jej smutki i skrupuły.

Kochany ten wujek.

Ale dlaczego słowa jego, choć jej spokój przyniosły, takie niejasne i zagadkowe? otoczone jakąś rozmyślną mgłą tajemniczości? Co on miał na myśli, pisząc, że zbliża się chwila, w której zostanie żoną Franka? Zkąd on o tem wiedzieć może, skoro w tej sprawie raz tylko i bez skutku rozmówił się z rodzicami?

Ale w każdym razie list ten przyniósł jej tyle dobrego, że Stasia po przeczytaniu go, uczuła się gdyby odrodzona. Świat cały wydał jej się od tej chwili lepszy i piękniejszy. Zakopane bardzo sympatyczne, góry wspaniałe, a nawet Wikta Szulcówna, do której zresztą nigdy nie czuła nienawiści, jakąś inną, bardziej miłą i naturalną.

— A tej co się dzisiaj stało? — mruknęła Gawlikowa, kiedy Stasia rozpromieniona, przebiegła koło niej, nucąc coś wesoło, z ogromną kiścią kwiatów w ręce. Rozkrochmaliła się panna przecież? A chodziła dotąd nadęta jak paw, że aż nie miło było spojrzeć na nią. — Ty. Staszka! Co cię tam znowu ukąsiło?

— A nic mamo! — odparła śmiejąc się Stasia! — Tylko tak mi dobrze dziś na świecie!

— Widzisz ją, wymyśliła — odparła Gawlikowa, pomagająca Kazi w układaniu cukrów i tortów na kloszach ustąpionych przez właścicielkę pensyonatu. — Dobrze jej na świecie. A niedawno to tylko beki wyprawiała.

— Mówiłam przecież mamie — wtrąciła Kazia z miną wytrawnej osoby — że to jest w niej przejściowe. Młode, głupie panienki, zawsze się krzywią i pozują na nieszczęśliwe, kiedy mowa o ich zamążpójściu. Ale kiedy narzeczony powie parę czułych słówek i inne panny zazdrościć jej będą, to zaraz przekona się, że dobrze jest być panią we własnym, bogato urządzonym domu i mieć pannę służącą do osobistej posługi.

— Ale ty Kaziu, nie wyprawiałaś takich grymasów, kiedy się hrabia Gucio zaczął starać o ciebie — zauważyła Gawlikowa wpatrzona z uwielbieniem w córkę us wiającą teraz piramidy owoców.

— Ah! ja! — wzruszyła ramionami Kazia. — Ja, to co innego! Nie miałam głowy przewróconej głupimi sentymentami tak, jak Stasia! Zresztą nie byłam nigdy taka głupia jak ona. Widzę teraz — dodała pobłażliwie, że Stasia poprawia się znacznie. To życie pensyonatowe bardzo dodatnio podziałało na nią. A i Markiewicz także się do tego przyczynił nie mało — zaśmiała się głośno. Taki bałamut z niego! Taki światowiec!

— Chyba nie większy od twojego narzeczonego — ujęła się za hrabią Guciem Gawlikowa.

— Ah! moja mamo! To jest całkiem co innego! Hrabia Gucio i ja i Stasia z Markiewiczem. Dla Stasi Markiewicz aż nadto dobry. Choć on miły i elegancki chłopiec, nie można go przecież porównywać z hrabią Guciem. Ja bym naprzykład nigdy za niego nie poszła. Mnie potrzeba innego otoczenia i oprawy.

— Ależ oczywiście moje, drogie dziecko — pospieszyła z zapewnieniem Gawlikowa, która teraz więcej niż kiedykolwiek ulegała kaprysom i fantazyom córki, wiedząc jak bardzo ją denerwuje obecność Wikty Szulcówny w pensyonacie. — Dla ciebie tylko hrabia na męża! Jak tylko podrastać zaczęłaś, zaraz poznałam, że cię inny los czeka.

Tymczasem Stasia pobiegła z kwiatami na werandę gdzie znajdował się Franciszek i pomagać mu zaczęła w układaniu bukietów.

W pewnej chwili cięższe westchnienie starego, zwróciło jej uwagę. Była tak dobrze usposobiona, że rada była widzieć wokoło siebie same zadowolone i wesołe twarze.

Podeszła też do niego i zapytała z uśmiechem, kładąc rękę na jego ramieniu.

— Cóż to? Franciszek dzisiaj w niedobrym humorze? Czy może kto dokuczył tutaj?

Stary machnął beznadziejnie ręką i mruknął:

— Ee! co tu gadać. Cały świat dokucza! Ludziska ogłupieli z kretesem.

— Jakto, Franciszku — zaśmiała się Stasia. — Czyżby aż tak źle było?

— A źle panienko, źle!

— No, niechże Franciszek powie, co jest takiego złego?

— A wszystko, panienko. Ludzie, jak te ćmy lecą w przepaść i niedbają, że karku nadłamać mogą.

— W jaką przepaść? Co też Franciszek opowiada?

— Tylko prawdę, panienko. Człowiek już stary i nie jedno na świecie widział, ale tego, co się teraz dzieje, to nie chciałbym więcej oglądać na swoje oczy.

— Ależ Franciszku — zawoła Stasia oburzona pesymizmem starego. — Ja nic tak strasznego nie widzę. Co się Franciszkowi stało? Mnie bardzo dobrze teraz na świecie. Wesoło tu, przyjemnie, wieczorem zabawimy się doskonale, a Franciszek kracze nademną jak kruk szkaradny!

— A to też właśnie, panienko — oburzył się stary — że wszyscy to tylko bawią się, hulają, pieniądzmi na wszystkie strony sypią, a końca nie patrząc. A może on być bardzo żałosny, panienko, bardzo żałosny — dodał patrząc na Stasię z przejęciem. Że też i panienka dała się wciągnąć w to wszystko i o przyszłości nie myśli?

— Ja — zdziwiła się Stasia.

— A jakże. Panience w Krakowie takie puste zabawy nie były przecież w głowie, tu dopiero jak widzę przerobili panienkę na swoje kopyto. Ale źle się dzieje! źle powiadam!

Staszka zamyśliła się i wyraz powagi przyoblekł jej twarz przed chwilą rozjaśnioną radośnie.

— Nie Franciszku — wyrzekła gorąco — mnie tu nikt nie przerobił, bo ja się przerobić nie dam nigdy, a że dziś się śmiałam i cieszę się trochę na wieczorną zabawę, to dlatego, że miałam dobrą wiadomość z Krakowa.

— Dobrą wiadomość z Krakowa — powtórzył powątpiewająco Franciszek. — Takiej się stamtąd teraz spodziewać nie można.

— Franciszku! Franciszku! — zawołała wylękniona Stasia, chwytając go za rękę. — Wy naprawdę coś wiecie złego? Powiedzcie mi proszę. Nie napróżno mówicie dziś tak do mnie. Co się stało?

— Od kogo panienka, jeżeli wolno zapytać miała dziś tę dobrą wiadomość — nie odpowiadając na pytanie, wyrzekł stary, wpatrując się bacznie w dziewczynę.

— Od wujka Grodzickiego — odparła bez namysłu Stasia.

— Tak, to co innego — uśmiechnął się życzliwie. — To człowiek mądry i poczciwy, a panience radby nieba przychylić. Może też i z tego nieszczęścia dla panienki coś dobrego wyjdzie, bo ja wiem z przeproszeniem panienki, co panienka i pan Grodzicki mają na myśli. Daj Boże jak najlepiej.

— Ale Franciszku mówiliście o jakimś nieszczęściu, powiedzcież co to jest? — zatrwożyła się na dobre Stasia, nie zwracając uwagi na ostatnie słowa starego sługi. — Boże mój. może tatuś chory, a my się tutaj bawimy.

— Choroba to jeszcze nie takie wielkie zło, bo z niej przy pomocy Bożej wyjść można — odparł sentymentalnie.

— Więc co? więc co? Franciszku, mówcie na Boga!

Stary zawahał się, obejrzał na około, jakgdyby się lękał, że ktoś podsłyszeć może jego słowa i szepnął:

— Tylko niech panienka z tego sobie wiele nie robi, bo dla panienki jak mówię najmniejsze zło z tego wyniknie. Podobno ojciec panienki wpakował się w jakiś brzydki interes i...

— Co? co? nie rozumiem. W jaki interes? — odszepnęła trwożnie Stasia, blednąc lekko.

— A no w interes taki, co pochłonąć może całe pieniądze ojca panienki i te wszystkie zbytki i grymasy panny Kazi! Dyabli to wszystko od jednego razu wziąć mogą — skończył brutalnie poirytowanym głosem — rozumie panienka teraz?

Stasia stała chwilę znieruchomiona, zdrętwiała pod wrażeniem, które nagle w nią uderzyło. W duszy jej walczyć zaczęły dwa uczucia, jedno silniejsze od drugiego, z któremi na razie poradzić sobie nie umiała.

W pierwszej chwili wiadomość otrzymana od starego służącego obudziła w niej nieobliczalną, błyskawiczną radość,

— Jeżeli jest tak, jak on mówi — pomyślała — wszystko u nas zmienić się musi. Markiewicz sam odstąpi i pozostawi mnie w spokoju. Powrócimy do dawnego życia i może wtedy pozwolą mi wyjść za Franka.

I nagle przypomniała sobie o liście Grodzickiego, którego słów dobrze zrozumieć nie mogła.

— Więc i on coś o tem wiedzieć musi — krążyło po jej oszołomionym mózgu — i także przypuszcza, że ta katastrofa ojca dobrze dla mnie skończyć się może.



...Podobno ojciec panienki wpakował się w jakiś brzydki interes.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staraszewskiej.

TOM I.

13

Jego oczy się zwężyły, iż stały się podobne do szparek, przez które przeświecało żółtawe światło.

– Kiedy pani francuska pokojowa odejdzie? – zapytał.

Poruszyła się i przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Czy czytał jej myśli?

– Moja pokojowa? – rzekła w końcu — Co pan mówi? – Dlaczego miałaby odejść?

– Kiedy odejdzie? – powtórzył. Rozbójnik nagle się w nim ukazał.

– Co za niedorzeczna myśl! nie mogę przecie obejść się bez pokojowej.

Odgrywała wciąż zdziwienie. Wewnętrzny, ciekawy głos – głos, który ledwo rozpoznała szeptał jej: – oprzej się.

– Kiedy odejdzie? – rzekł znowu, jak gdyby nie słyszał.

Fellah nad Nilem, już nie śpiewał. I Mrs. Armine nie widziała, przy końcu alei pomiędzy liśćmi, przepływających łacińskich żagli. Zdawało jej się, że pomarańczowy ogród znajduje się na końcu świata. Złoty spokój południa, przyoblekł go, jakby w szatę, której rąbek był haftowany czerwienią geranium, zielenią i złotem.

Lecz w tym spokoju, zdawała sobie sprawę, że powinna walczyć, jeżeli chce pozostać bezpieczną. Miękką wydawała się szata, która ją okrywała, lecz czy nie była ona śmiertelną jak koszula Nessiusa, czy trucizna, którą wydzielała nie przeniknie jej członków, nie dostanie się do duszy?

To było może rzeczą małej wagi, kwestya pozostawienia, lub odprawienia pokojowej lecz czuła, że jeżeli się teraz oprze jego woli, odniesie decydujące zwycięstwo, które ją uchroni od możliwego niebezpieczeństwa, przeciwnie, jeżeli mu ulegnie, będzie to zupełnem poddaniem się jemu.

– Nie ulegnę – powiedziała sobie.

Spojrzała na siedzącego obok niej rozbójnika, i coś w niej, co zdawało się być jądrem kobiecości zapragnęło uledz.

Chciała się rozstać z Marie. Była zupełnie zdecydowaną dzisiejszego rana ją odprawić. Jakżeby to było nierozsądnie nie uczynić tego, dla tego, że i on pragnął żeby ta dziewczyna odeszła!

– Kiedy pan chce żeby odeszła? – zapytała powoli, patrząc na niego. – Co to może pana obchodzić, czy moja pokojowa odchodzi, czy zostaje?

A on tylko na nią spojrzał, otworzył szeroko oczy i zaśmiał się. Wziął papierosa zapalił go, i zaśmiał się znowu, z jej udanej nieświadomości i przeźroczystej hypokryzyi.

Pomimo tego, nie dawała za wygraną.

– Nie mogę pojąć co to może mieć wspólnego z panem i wogóle dla czego się pan tem interesuje.

– Znajdę pani lepszą pokojową.

– Hanza – może?

– A dlaczego by nie Hanza.

Spojrzał na nią i umilkł i znowu doznała uczucia bojaźni. Było coś śmiertelnego w tym modlącym się poganiaczu osłów.

– Kiedy ta dziewczyna odejdzie?

Mrs. Armine otworzyła usta żeby powiedzieć – nie odejdzie wcale – lecz rzekła:

– Mam zamiar ją odprawić w tych dniach. Od dawna chciałam ją odprawić.

– Tak?

– Nie jest prawdziwie dobrą pokojową. Nie rozumie mnie.

– Lub rozumie zanadto dobrze – rzekł spokojnie Barondi. – Kiedy odejdzie spalę ałun na węglach i dam do zjedzenia czarnemu psu. Ta dziewczyna ma złe oko.

XX.

Kiedy południe minęło Barondi zaprosił Mrs. Armine, na egipski obiad czyli El Ghada, podany na okrągłej złotej tacy. Wszedłszy do jadalnego pokoju, znaleźli już tacę na niskim stole wyłożonym szylkretem i perłową masą. Serwety były z białego jedwabiu, a żółty chleb pokrajany w plasterki. Na ścianach wisiały jedwabne makaty ciemno czerwonego koloru, przetykane złotem. Podłoga była pokryta wspaniałymi dywanami, których Barondi posiadał widocznie niezliczoną liczbę. Pod ścianami stały jak zazwyczaj szerokie otomany. W kącie paliło się kadzidło. Przez szerokie okno nawpół zasłonięte firanką, Mrs. Armine miała widok na nieruchome pomarańczowe drzewa. W chwili gdy usiadła na przygotowanych dla siebie poduszkach, odezwała się z ogrodu krajowa muzyka do której prawie natychmiast przyłączył się śpiew i wszedł Ajonb, podając swemu panu, który siedział naprzeciwko Mrs. Armine, brązową miednicę i taki sam dzbanek wody. Barondi wyciągnął ręce, Ajonb nalał na nie wodę, która ciekła przez dziurki nakrywki, poczem Barondi wziął do złożonych rąk większą ilość wody i podniósł ją do ust, które starannie wypłukał. Następnie Ajonb zabrał miednicę, a Barondi obtarł ręce serwetą i szepnął jakiś wyraz. Było to: „Bismi-lahi" lecz Mrs. Armine tego nie dosłyszała. Siedziała cicho, była na chwilę zapomnianą; słuchała śpiewu, uderzeń bębna, wdychała kadzidło i czuła się, jak ktoś zaglądający przez uchylone drzwi do nieznanego świata.

Prawie natychmiast Ajonb wrócił i zaczęli jeść obiad, przy ciągłym akompaniamencie muzyki. Ajonb podał jakąś czerwoną zupę, potrawę z małych cebulek, liście winogradowe z doskonałym zawiniętym w nie farszem, ogórki w mleku, jakieś ptaszki na srebrnych rożenkach, szpinak i pszenne placki z miodem. Jej łyżka nóż i widelec, jak i półmiski były srebrne, co nie bardzo harmonizowało ze złotą tacą. Barondi używał do jedzenia tylko swych palców i chleba.

Mrs. Armine była głodna i jadła z apetytem. Nic nie wiedziała o wschodniej kuchni, lecz będąc smakoszem, poznała, że kucharz Barondi'ego, był prawdziwym artystą w swoim fachu. Podczas jedzenia, nie podawano nic do picia, lecz ledwo skończyli, Ajonb przyniósł jej piękny kielich złoty, lub złocony – nie wiedziała – i nalał z ceremonialną powagą niewielką ilość jakiegoś płynu.

– Co to jest? – zapytała Barondi'ego.

– Proszę wypić? – odrzekł.

Podniosła kielich do ust i wypiła wodę.

– Oh! – zawołała ze zdziwieniem i zawodem.

– *Losz rub et Arych en Nil awadeh* – rzekł.

– Co to znaczy?

– Kto się napije wody Nilu, musi powrócić!

– Woda Nilu! Rozumiem!

– A teraz pani pozwoli sorbetu.

Powiedział kilka słów po arabsku Ajonbowi, który zabrał kielich, przyniósł wysoką, cienką szklankę i przerzuciwszy przez ramię bogato haftowaną serwetę nalał do szklanki z wąskiego porcelanowego naczynia zielony płyn.

– Czy to prawdziwy sorbet? – zapytała Mrs. Armine.

– Sorbet z fiołków.

– Jak to się robi?

– Miażdży się kwiaty fiołków, przesycając je cukrem i gotuje dłuższy czas.

Ajonb stał przy niej dopóki nie wypiła, a kiedy skończyła, podał haftowaną serwetę, którą dotknęła ust.

– Czy się to pani podoba?

– To bardzo dziwne. Lecz wszystko tutaj jest dziwne.

Ajonb przyniósł znowu swemu panu miednicę i dzbanek i Barondi umył ręce i wypłukał usta jak przed jedzeniem. Poczem, wyszeptał parę wyrazów, wstał, ujął prawą swą ręką lewą rękę Mrs. Armine i zaprowadził ją do otomany. Ajonb przyniósł kawę, zabrał ze stołu złotą tacę, postawił kawę na mniejszej tacy, blisko otomany, i wyszedł. Kiedy znikł, muzyka nagle urwała z zupełnym brakiem zakończenia dziwnem dla europejskiego ucha. Prawie przejmująca cisza, która nastąpiła, została przerwaną śpiewem jakiegoś ptaka, siedzącego na gałęzi pomarańczowego drzewa. Drugi ptak mu odpowiedział.

– Śpiewają chwałę Bożą – rzekł Barondi, głębokim głosem, jakby mówiąc do siebie samego.

– Te ptaki?

– Spojrzała na niego ze zdziwieniem, on patrzał na nią poważnemi oczami.

Pani się nie zna na tych rzeczach?

Uczuła się nagle nie umiejącem, głupiem dzieckiem, nie zasługującem na naukę. Popijał kawę siedział teraz po europejsku, obok niej na otomanie, skutkiem czego jeszcze trudniej jej było zrozumieć jego umysłowość, gdyż wyglądał jak silny, przystojny młody człowiek, mogący należeć do narodowości południowo europejskiej. Nawet turban, który miał wciąż na głowie, nie nadawał jego powierzchowności ściśle wschodniego charakteru.

I ten człowiek, zupełnie poważnie mówił jej o ptakach śpiewających chwałę Bożą.

– Pan powinienby być inaczej ubrany – rzekła.

– Jak?

– W egipskich szatach, nie w angielskich flanelach.

– Któregoś dnia pani mnie w nich zobaczy – odrzekł – często wieczorem na Lonlii noszę kaftan.

– Wieczorem na Lonlii! Jakże będę mogła pana w nim zobaczyć?

Mówiła z nagłem rozdrażnieniem. Dzisiejszego dnia jej małżeństwo z Niglem wydawało się jej zawieszonym nad nią mieczem, który na nią spadnie, i zaleje wszelką możliwość szczęścia.

– Zobaczy mnie pani w pełnym egipskim stroju, tylko trzeba trochę zaczekać. Lecz kobiety nie lubią czekać na coś, co im sprawi przyjemność. Ciągle się spieszą.

Zimny egoizm, z którym przyjmował jej podziw, wzbudzał w niej nie gniew, lecz rodzaj szacunku. Zdawał się być częścią jej siły. Podniósł brwi, przechylił głowę, ukazując swą wspaniałą szyję, i ruchem, który już zauważyła w ogrodzie Andrond, wsunął dwa palce pod miękki kołnierzyk dodając:

– Są jak dzieci, i powinny być traktowane jak dzieci. Lecz mogą być też bardzo mądre, jeżeli chcą oszukiwać. Wiem o tem. Mogą być chytre jak lisy, lekko-nośne i szybkie jak gazelle. Lecz wszystko co czynią, i wszystko czem są, to dla mężczyzn. Kobiety są stworzone dla mężczyzn, i one o tem wiedzą tak dobrze, że myślą tylko o mężczyznach. Ja pani to mówię.

– Bezwątpienia, to prawda – rzekła, przyjmując z uśmiechem jego zapewnienie.

– Kobiety będą biegały nawet za cieniem mężczyzny, jeżeli nie zostaną zamknięte za kratą.

Mrs. Armine roześmiała się.

– I dla tego wy, wschodni mężczyźni, trzymacie je w zamknięciu.

– I cóż! czyż nie jesteśmy mądrzy? Czy nie jesteśmy mądrzejsi niż Mr. Arminowie z Europy?

Niespodziewana wzmianka o Niglu, dotknęła ją i uczuła niesmak z powodu jego nietaktu, lecz to wrażenie zaraz przeszło, kiedy sobie przypomniała jego wschodnie pochodzenie.

– A pan? – rzekła – czy pan nigdy nie zaufa kobiecie?

– Nigdy – odrzekł spokojnie – kobiety są takie same. Jeśli zobaczę cień, muszę za nim biedz, nie mogę się powstrzymać.

– Pan zdaje się zapominać, że mężczyźni ciągle biegną za cieniami kobiet – odparła.

Pomyślała o swem własnem życiu, jak była uwielbianą i jak się za nią ubiegali nie *pour le bon motif*, ale zawsze.

Chciałaby żeby o tem wiedział.

– Mężczyźni to czynią, żeby zrobić przyjemność kobietom, jak się robi przyjemność dzieciom, dając im jaszczurkę uwiązaną do sznurka. Włóż ten sznurek do jego ręki, a dziecko szczęśliwe. Tak jest z kobietą. Tylko ona pragnie nie sznurka lecz kaftana.

Zdawało się Mrs. Armine, słuchając Barondi'ego, że została usuniętą z miejsca, które zawsze zajmowała. Milcząco przyjmował jej podziw, zamiast go jej okazywać. A jednak – przyjął ją serenadą na Nilu pierwszego wieczoru jej przybycia. Przekupił Hanzę i Ibrahima. Pragnął i przyspieszył wyjazd Nigla. Zadecydował, że Marie musi odejść. I woda Nilu – w jakiej intencyi dał jej do picia? I miał plany na przyszłość. Zdawały się ją obejmować cicho, łagodnie, jak chmury zmiające widokrąg świata.

Nie odwróciła tej rękawiczki.

Uczuła, że musi zmienić taktykę, zaakcentować się silniej, opuścić to skromne miejsce, na którem ją postawił. Gdzie się podziała jej duma, nawet kurtyzany? Podniosła do ust filiżankę, wypiła resztę kawy i zaczęła naciągać jedną ze swych długich białych rękawiczek. Barondi spokojnie dalej palił. Wzięła drugą rękawiczkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Zajrzawszy przypadkiem do „Kalendarza familijnego na rok 1921“, wydanego w Drukarni „Nowości Illustrowanych“, przekonał się kronikarz ku swojemu ogromnemu przerażeniu, że karnawał się już kończy, gdy on dotąd nie miał nawet sposobności choćby rozpędzić się do tańca, pączka zaś nie zjadł ani jednego, a nawet go nie widział!..

Kronika niniejsza jest zatem ostatnią karnawałową. Z pod znaku pączka, którego nie było, przechodzimy pod znak śledzia, którego również nie będzie, któż go nam bowiem dostarczy, choćby nawet w stanie zgniłym, gdy „Puzapp“, to jest Państwowy Urząd znieczulania apetytu przez pasek, przechodzi w dobrze zasłużony stan spoczynku. Zostają wprawdzie paskarze, i u nich można się zaopatrzyć także w śledzie, ale na to trzeba być milionerem, a nie dziennikarzem dziadowodem.

Było zatem Boże Narodzenie bez ryb i strucli, karnawał bez pączków, słuszną zatem i sprawiedliwą jest rzeczą, aby i post był bez śledzi. Miała wojna światowa zmienić dotychczasowe stosunki, zmieniła je też ale bynajmniej nie na lepsze. Nawet w Popielec, który przypada już na dzień 9 lutego, nie będzie czem posypać głowy na znak pokuty, bo i skąd się ma wziąć popiołu, skoro się w piecu nie pali z powodu braku węgli.

Mimowoli, choć to jeszcze karnawał, tłusty czwartek w zanadrzu, zapusty o krok za nim, zaczyna kronikarz nastrajać się na żałosną nutę i, choć ma zamiar poświęcić kilka słów wspomnienia karnawałowi, w którym osobiście nie brał udziału, obawia się by ta wzmianka nie miała już charakteru wielkopostnych, żałosnych rozmyślań.

Tegoroczny karnawał był wprawdzie bardzo krótki. ale też i bardzo huczny. Zaczął się wcześniej niż zwykle, bo już w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, zabaw publicznych na rozmaitego rodzaju dobroczynne cele było tyle, że poprostu trudno je zliczyć. Nie było dnia, aby pisma codzienne nie przyniosły zawiadomienia o jakimś balu, reducie lub czemś podobnem, a że zajmowano się tem seryo, świadczy choćby tylko apel jednego z komitetów, zwracającego się do pań z wezwaniem, aby się postarały o „stylowe fryzury“.

Można sobie wyobrazić, ile za taką „stylową fryzurę“ trzeba zapłacić, jeżeli kronikarza kosztowało czterdzieści marek doprowadzenie do porządku zupełnie nie stylowej łysiny, przyczem golibroda nie miał zbyt wiele roboty. Za „stylową fryzurę“ trzeba też stylowo płacić, a na to stać nie każdego.

Pani kronikarzowej, czyli tak zwanej popularnie „Weronice“ zachciało się też bodajby raz wyprowadzić swe przekwitające już latorośle na targ małżeński, pokazało się przecież, że projekt ten ma zbyt wiele wspólnego z... kwadraturą koła, to jest, że nie jest ziszczalny. Obliczono na radzie familijnej, iż na pokrycie kosztów podobnej wyprawy po złote runo, trzeba nadzwyczajnych kredytów, idących w dziesiątki tysięcy, a na to kronikarska kasa nie pozwala. Jest w niej wprawdzie dość zer, ale one mają dopiero wtedy wartość, gdy je poprzedza jakaś cyfra, a o nią właśnie najtrudniej.

Musiały zatem zrezygnować niewiasty z wykonania zamiaru i odłożyć to na lepsze czasy. Czekały dotąd cierpliwie na oblubieńca, mogą (i muszą) poczekać jeszcze, zwłaszcza, że dziś o kandydata na dozgonnego towarzysza daleko trudniej, niż to było przed wojną. Młodzieńcy, poczynając od tych. którym się dopiero zaczynają sypać wąsy, skończywszy zaś na wyłysiałych już „emerytach stanu kawalerskiego“, poznali swą wartość i, idąc za ogólnym duchem czasu, „podskoczyli też w cenie“, każąc sobie dobrze płacić za utratę wolności. A kronikarz, prócz błogosławieństwa na drogę życia i zapewnienia, że, o ile kupi premiówkę i wygra milion, to podzieli się nim z zięciami, więcej dać nie może.

Płeć nadobna spuściła też odpowiednio z tonu i nie stawia już na ogół tak wygórowanych wymagań, jak to było przed wojną, ale i to nie pomaga. Dawniej czekała każda dziewica na jakiegoś królewicza z bajki, któryby przybył po nią w złocistej karecie i wywiózł potem do czarodziejskiego pałacu na Szklanej górze, przebierała też między starającymi się o jej rękę, posag i t. d., niczem w ulęgałkach, dziś byłaby zadowoloną, gdyby przybył zwykłą fijakierską dryndą, albo nawet i piechotą, i wyprowadził ją z domu rodzicielskiego, niechby nawet i na trzecie lub czwarte piętro, byle „na swoje“, gdzie mogłaby rozkazywać, a nie była zmuszoną słuchać.

Karnawałowe targi małżeńskie były też bardzo ożywione. Popyt na ogół był wielki, ale podaż mała. Skutki wojny dają się i tutaj odczuwać. Zmieniły się role, teraz kandydaci do stanu małżeńskiego stali się bardzo wymagający i ani rusz ich zadowolić.

Kronikarskie latorośle więdnąć będą zatem dalej i czekać, co im przyjdzie o tyle z łatwością, iż miały już czas do tego się przyzwyczaić.

Bal... Nie tylko Weronika miała „balowe zachcianki“, coś podobnego łaziło po głowie i kronikarzowi. Chciał mianowicie urządzić wielki bal Czytelników *Nowości illustrowanych*, pokazało się przecież, że aż do Popielca włącznie nie zdobędzie nigdzie sali. gdyż wszystkie zajęte, a i o muzykantów trudno. Wojskowi i cywilni są poprostu rozrywani, gdyby ich było i dwa razy więcej, jeszcze nie mieliby powodu narzekać na brak zajęcia.

Projekt pozostał zatem w sferze projektów i niewiadomo kiedy się doczeka zrealizowania. O ile się stosunki poprawią, może w roku przyszłym.

Charakterystyczną cechą obecnego karnawału był natomiast prawie zupełny zanik dawniej tak popularnych pikników familijnych (tańczące pączki...). Bawiono się zwykle na nich doskonale, a najlepiej na tem wychodziła rodzina, w której mieszkaniu się odbywały. Z „półmisków“ (naturalnie nie próżnych!...) dostarczonych przez poszczególne domy, zostawało zwykle tyle, iż co najmniej przez dwa tygodnie miało się wyżywienie zapewnione.

Niejedno małżeństwo dziś bardzo szczęśliwe, skojarzenie zawdzięcza takiemu piknikowi, specyalnie zaś n. p. polędwicy garnirowanej, dostarczonej przez dom państwa X. lub Y. Smakowała ogólnie, kawalerowie, troskliwi zawsze o swe żołądki, dopytywali się też ciekawie, skąd pochodzi, aby w najbliższym czasie przypuścić jeneralny szturm do serca córki i zapewnić sobie na przyszłość smaczne, zdrowe i tanie obiady pod swym własnym dachem. Wiedziały o tem mamy, że drogą na żołądek najłatwiej zdobyć serce młodego człowieka i poprowadzić go przed ołtarz. sadziły się więc, aby „półmiski“, wychodzące z ich kuchni, przedstawiały się jak najokazalej, bo tu wchodziło w grę szczęście ich córki i jej przyszły los. Korzystali z tego oczywista i ci „ptakowie niebiescy“, którym małżeństwo nie było w głowie, uczęszczali bardzo licznie na takie prywatne zabawy, aby sobie podjeść tanio i smacznie. Nie brakło zatem danserów. O ile przyjęcie było gorące, przekąski gorące, była też i zabawa gorąca, gospodarstwo zachęcali też do niej całem sercem, mając na względzie, aby z „darów Bożych“ jak najwięcej dla nich pozostało. Nazajutrz odbywały się zwykle „poprawiny“, ale już w ściślejszem kółku, poczem reszta zapasów wędrowała do spiżarni, wychodząc na pożytek jedynie tylko domowi, który piknik familijny urządzał.

Dziś trudno się z czemś podobnem spotkać tu i ówdzie, gdzie są panny na wydaniu, a fundusze nie pozwalają na wyprowadzenie ich na bal publiczny, urządza się wprawdzie coś podobnego, ale jest to tylko nieudała imitacya dawnych czasów. Jedynie przyjęcie pozostało gorące, przekąski, o ile są, są natomiast zimne, nic też dziwnego, że i zabawa się nie klei, a młodzi ludzie, zwąchawszy pismo nosem, że z kuchni nie dolatują przyjemnie nos drażniące zapachy, wynoszą się po angielsku narzekając zupełnie słusznie na zanik staropolskiej gościnności, z której słynął szczególnie Kraków, co dało nawet ś. p. Bałuckiemu temat do napisania doskonałej komedyi p. t. „Dom otwarty“. Choć czasy się zmieniły, nie straciła ona nic na swej aktualności.

Zmieniają się czasy, z nimi zmieniają się i ludzie, a zarazem i ich obyczaje. Karnawał jest obecnie bardziej huczny, ale mniej treściwy i ogromnie przypomina ognie sztuczne, po których nic nie zostaje, ognia trochę i dymu.

I gdyby ktoś postawił pytanie, z jakich sfer rekrutowali się ci, którzy tak się hucznie bawili i gdzie szukać powodu, odpowiedź nie byłaby trudna. Bawili się wszyscy, których stać było na to, a takich jest dość, nie brakło pewnie i takich, którzy w zabawie szukali jedynie zapomnienia swych kłopotów i ci, rzec można, bawili się z... prawdziwą wściekłością, mówiąc sobie: „Raz kozie śmierć!“... Niejednemu udało się też w szale zabawy znaleźć zapomnienie, niestety, tylko chwilowe. Obudzenie się nazajutrz po tak hucznie spędzonej nocy przynosi refleksyę, i do dawnych kłopotów przybył nowy, a tym szczerba, jaką w budżecie wytworzyły wydatki balowe... Ale to znów powód do dalszej zabawy i szukania zagłuszenia.

Stare „mamuty“, a do tych i kronikarz się zalicza, nie wzdychają zbyt do karnawałowych przyjemności. Ten i ów, mając rodzinę, czasem pójść musi, niejednego prowadzi tam interes, większość przecież, obliczywszy się dokładnie, powiada sobie: „Nie będę w karnawale szalał, nie będę musiał pokutować we wielki post...“ i zostaje w domu.

Dla nich karnawał właściwie nie istnieje, a wielki post trwa rok cały, zwłaszcza w obecnych warunkach, jakie wojna wytworzyła.

I to właśnie, zamiast dać temat do peanów na cześć karnawału, nadaje się raczej do rozmyślań wielkopostnych, które będą tem przykrzejsze, że sytuacya z dnia na dzień staje się coraz trudniejsza, a tu trzeba powoli myśleć o przygotowaniach do Wielkanocy. Te sześć tygodni postu, jakie mamy przed sobą, zlecą niepostrzeżenie, z pod znaku śledzia (którego nie było...), trzeba będzie przejść pod znak szynki i kiełbasy, a dopiero wówczas przekona się każdy (o ile nie jest paskarzem, lichwiarzem i t. p.) że, zamiast „Alleluja“, trzeba śpiewać w dalszym ciągu... gorzkie żale.

Oj, wywróciła ta wojna świat do góry nogami... Czy kto słyszał u nas kiedy o karnawale bez pączków, o Popielcu bez popiołu, o wielkim poście bez śledzi, a jak dalszy ciąg każe się spodziewać, i o Wielkanocy bez szynek i kiełbas?... Wprawdzie z powodu braku tych artykułów nikt dotąd nie umarł, ale w każdym razie jakoś człowiekowi nieswojsko, gdy się musi obejść bez tego, do czego się z dawien dawna przyzwyczaił i dlatego też niejeden zadaje sobie pytanie:

— I pocóż właściwie toczyło się tę wojnę i tyle strat poniosło?...

Odpowiedź na to pytanie, to materyał do rozpamiętywań wielkopostnych. Nawet ci, którzy osobiście przyczynili się do jej wybuchu, mieliby dość kłopotu z odpowiedzią, temsamem zaś przyjdzie to z trudnością kronikarzowi, który z polityką wogóle nigdy nie miał nic wspólnego. Będzie to pewnego rodzaju umartwienie wielkopostne, jeżeli nie za winy popełnione w karnawale, to bodaj zaliczki na rachunek przyszłej szczęśliwości.

Żegnamy zatem karnawał bez wielkiego żalu, ale w tej nadziei, że następny będzie lepszy, a kto wie, czy ze względu, na owo wywrócenie się stosunków do góry nogami, wielki post, zamiast smutków, nie przyniesie nam radości...

W latach przedwojennych ogłaszali w tym czasie biskupi listy pasterskie z pouczeniem dla wiernych, jak się mają w czasie wielkiego postu zachowywać, aby Pana Boga grzechem obżarstwa nie obrazić. Osobom niektórym, które tego potrzebowały, udzielano dyspenzy.

Teraźniejsze stosunki się zmieniły. Kościół zastępuje ministerstwo aprowizacyi, które wielki post rozciąga z dni czterdziestu na czas nieograniczony i zapowiada rozmaite ograniczenia w odżywianiu się obywateli, mając na celu nie tyle zbawienie ich duszy, ile ulżenie samemu sobie. Od wielkopostnych norm rządowych niema też dyspenzy. Ogłoszeniem ich nowy minister aprowizacyi zainauguruje objęcie przez siebie rządów nad naszymi żołądkami po panu Śliwińskim, który bynajmniej nie zasłużył sobie na ich wdzięczność, wspominają go też niezbyt mile. Nowe ograniczenie aprowizacyjne (dwudniowe wstrzymanie się od mięsa, zakaz wyrobu wędlin, unormowanie czasu sprzedaży mleka i t. p.) powitane zostały z uznaniem przez... paskarzy, powiadających sobie, że znów nadarza się sposobność dobrego zarobku. Zakaz będzie sobie istniał na papierze, tu i ówdzie przyłapią władze jakąś babinę, sprzedającą mleko w czasie zakazanym i będą się tem chwalić, niczem kura, zniósłszy jajo, kto jednak będzie miał ochotę i pieniądze, kupi wszystko, ale po cenach do ostateczności wyśrubowanych, gdyż lichwiarz żywnościowy lub paskarz każe sobie zapłacić i za strach i na poczet ewentualnej grzywny, gdyby go przypadkiem dojrzało „czujne“ oko władzy.

Dla nie obfitujących zbytnio w gotówkę, wielki post zapowiada się więc niezbyt ponętnie, co im przecież może wyjść tylko na duszny i cielesny pożytek. Duszę zbawią, żołądka nie obciążą i nie narażą się na wejście w bliższą styczność z apteką. A nie trzeba zapominać o tem, że chorowanie i leczenie należy dziś do zbytków, na jakie mogą sobie pozwolić jedynie ludzie bardzo zasobni.

W swym liście pasterskim do głodnych powinien pan minister aprowizacyi powołać się na piękny przykład ś. p. burmistrza z Corku, Mac Svineya, który udowodnił, że można się cały kwartał zupełnie wstrzymać od jedzenia (ile się przez to oszczędzi!...) i, gdyby nie był przypadkowo umarł z głodu i wycieńczenia, byłby z pewnością żył do dnia dzisiejszego.

Naśladowców, wprawdzie na mniejszą skalę, ma on u nas już dość, zwłaszcza pośród tak zwanego „proletaryatu inteligencyi“, umartwiającej się stale przymusowym postem.



Spadek po ś. p. Austryi: Zawieszenie flagi włoskiej na byłym austryackim okręcie w porcie nowojorskim (Art. na str. 4

Fiumańskie echa.

Operetkowa dyktatura d'Annunzia w utworzonej przezeń republice fiumańskiej należy już do przeszłości. Traktat pokojowy w Rapallo położył kres zatargom granicznym między Włochami a Jugosławią, Rjeka jest znów wolnem miastem, jak tego żądały postanowienia traktatu wersalskiego.

D'Annunzio, który głośno zapowiadał, że za nową republikę gotów jest oddać życie, zrezygnował z tego zamiaru ale zarazem także i z dalszej karyery politycznej, która okazała się dlań bardzo niewdzięcznem polem działalności. Nacyonaliści włoscy, acz z bólemi serca musieli się pogodzić z przykrą rzeczywistością.

W sprawie ostatecznej likwidacyi imprezy włoskiego poety zabiera korespondent rzymski jednego z pism warszawskich głos w sposób następujący:

W Abbazyi rozpoczęły się pertraktacye o zawieszenie broni i o załatwienie kwestyi Fiume w sposób polubowny. Radzie miejskiej chodziło jedynie o niestwarzanie precedensu, jaki siłą rzeczy po wejściu wojsk włoskich do miasta, istniałby. Pertraktacye te doprowadziły do pożądanych rezultatów. Walka została przerwana, jen. Ferrero w zastępstwie głównodowodzącego jen. Caviglia ułożył wspólnie z przedstawicielami Rady miejskiej pakta na jakich rząd włoski zaakceptował załatwienie samej kwestyi. Pakta te zawierają między innemi opuszczenie miasta przez wojska zaciężne i ochotnicze pozostające pod komendę d'Annunzia, zwrot materyałów wojennych, skonfiskowanych przez te siły, a należących do wojsk regularnych państwa włoskiego, opuszczenie wysp zajętych przez legionistów d'Annunzia i t. p.

Umowa w Abbazyi stała się jednoczesnem uznaniem niepodległości terytoryalnej miasta Fiume z obwodem przyznanym w traktacie zawartym w Rapallo. D'Annunzio pozostał w mieście i dotychczas tam przebywa, redagując memoryał specyalny, jaki będzie rozesłany wszystkim deputowanym i wszystkim senatorom w celu usprawiedliwienia akcyi, przeciwstawiającej się traktatowi w Rapallo i decyzyi zbrojnego oporu w momencie ataku wojsk włoskich. Niektóre pisma donosiły, iż poeta, zamieszka poza granicami Włoch, inne zaś twierdzą iż zamieszka w Rzymie, gdzie poświęci się wyłącznie literaturze i sztuce. Pisma socyalistyczne zjadliwie twierdzą iż d'Annunzio wywiózł miliony z Fiume i że teraz zabezpieczywszy sobie lata, które mu pozostały, przemyśliwać będzie nowe eskapady w rodzaju tej rozpoczętej w Ronchi, a zakończonej w Fiume.

Miasto Fiume tymczasem wybrało rząd narodowy pod przewodnictwem zasłużonego działacza dr Antoniego Grossicz'a którego bliski stosunek z komendantem d'Annunzio, dla nikogo nie jest tajemnicą. Do rządu tego, jako sekretarz obrony narodowej wszedł kapitan Host Venturi, prawa ręka poety w dotychczasowej jego działalności we Fiume, i jeden z przedstawicieli miasta w pertraktacyach w Abbazyi.

Patos zabił politycznego działacza, który nie



Francya a rozbrojenie Niemiec. Obchód pamiątkowy urządzony w Berlinie przez niemieckich komunistów ku uczczeniu Karola Liebknechta i Róży Luxemburg. (Do artykułu na str. 4).

chciał czy nie mógł zapomnieć o tem, iż był całe swe życie poetą, wyłączając krótki epizod działalności parlamentarnej d'Annunzia. Poeta nie powinien był zapominać o fakcie, iż 17 legionistów poległo, płacąc życiem za ideę, której on stał się uosobieniem, i że ze strony wojsk regularnych padły również ofiary ślepej dyscypliny wojskowej, która dla żołnierza jest jedynym przewodnikiem. Człowiek nie powinien był zapominać o tem, że poza racyą stanu, przywoływaną przez Golitti'ego był cały żywy i żyjący naród, który akcyę wojsk pod Fiume śledził gorączkowo. Polityk nie powinien był zapominać o tem, że polityka często bardzo w uczciwy sposób rozumiana wymaga zrezygnowania ze swojego ja i stworzenia precedensu męczeństwa, gwałtu celem łatwiejszego zrozumienia całości wielkiej sprawy. Oświadczenie ostatnie było odruchem rozkapryszonego pisarza ulubieńca publiczności.

Akcya rządu mająca na celu poprawienie sytuacyi międzynarodowej państwa włoskiego, danie lekcyi miejscowym bolszewikom i poprawienie waluty włoskiej na rynkach międzynarodowych nie wytrzymuje krytyki. Primo: waluta włoska po załatwieniu zatargu z miastem Fiume, nietylko nie podniosła się, a przeciwnie obniżyła się i stale obniża się. Secundo: danie lekcyi miejscowym bolszewikom było zbyteczne, gdyż bolszewizm włoski rozpadł się przed narodzeniem.



Fiumańskie echa: Pogrzeb ofiar poległych w obronie byłej republiki na cmentarzu w Rjece.

święceniem, musi być nietylko uczącym, ale i wychowawcą, nie może ani chwili zapomnieć o dążeniu do podniesienia godności i znaczenia swego stanu.

Jeżeli tym trzem warunkom odpowiedział, spełnił godnie swoje zadanie i posłannictwo, zyskując sobie wdzięczność społeczeństwa, które, niestety nie doceniało dotąd ważności w życiu tego posterunku, który zajmuje nauczyciel. Nagrodę za jego wysiłki stanowiło dotąd przeważnie jedynie wewnętrzne zadowolenie, że spełnił swą obywatelską powinność. Zbyt skąpa to nagroda za trudy i prace, nie brak przecież między nauczycielstwem takich, którym ona wystarcza...

Z przyjemnością notujemy też fakt uczczenia przez ogół polskiego społeczeństwa zasług, jakie na niwie pedagogicznej położył w ciągu swej czterdziestoletniej działalności nauczycielskiej pan Stanisław Nowak. Jest to zapowiedź, że stosunki pod tym względem się zmieniają, że polskie społeczeństwo umie ocenić i należycie uczcić zasługi nawet tak skromnego pracownika, jakim jest nauczyciel szkół powszechnych.

Pan Stanisław Nowak zasłużył sobie też na to, aby dniem jego jubileuszu zajęła się cała Polska, nie tylko Kraków. Pomijając bowiem okoliczności, że wychował on dwa pełne pokolenia, rozpruszone dziś po całym kraju — może śmiało stawianym być za wzór pracownika na trudnej niwie nauczycielstwa najniższego. Zawodowi oddał się z całem poświęceniem, nie szukając rozgłosu, lecz znajdując zadowolenie i nagrodę, jeżeli widział, że uczniowie, którzy wyszli z pod jego ręki, są prawymi Polakami, pracę pojmują seryo i kochają ją całą duszą. To dodawało mu sił do dalszej pracy na niwie pedagogicznej, na której kartach nazwisko swe zapisał złotemi głoskami.

Niespożyte wprost zasługi położył też około podniesienia godności i znaczenia stanu nauczycielskiego. Na stanowisku prezesa Polskiego Związku Nauczycieli szkół powszechnych, którego był założycielem i jest pierwszym przewodniczącym, rozwinął tak owocną dla nauczycielstwa działalność, że długie lata nazwisko jego nie zejdzie z ust kolegów i koleżanek mających mu tyle do zawdzięczenia.

Oto wzór nauczyciela wychowawcy, jakich daj nam Boże jak najwięcej. W zdrowiu i czerstwości obchodzi dziś Jubilat czterdziestolecie swej żmudnej pracy, nie ustając ani na chwilę w dążeniu do wytkniętego celu, którym jest dać polskiemu społeczeństwu obywateli czujących po polsku i znających wartość pracy, oraz obrona praw nauczycielstwa i wywalczenie mu znaczenia i uznania jakie mu się należy.

Jugosłoweńscy goście w Krakowie.

Miłych gości witał Kraków w bieżącym tygodniu w swych murach. W drodze powrotnej z Warszawy przybył do nas chór młodzieży akademickiej uniwersytetu zagrzebskiego „Mladost“ i wystąpił z koncertami w sali Teatru powszechnego i w Ognisku dla żołnierzy Y.M.C.A. Chórowi towarzyszy wybitny muzyk profesor Dobronic.



Czterdziestolecie pracy pedagogicznej: Stanisław Nowak, zasłużony założyciel i pierwszy prezes Związku pol. naucz. szk. pow.

Południowosłoweńscy goście wystąpili z szeregiem koncertów w Warszawie, Poznaniu, Gnieźnie, Bydgoszczy, Toruniu, Lublinie i Lwowie, przyjmowani wszędzie nadzwyczaj serdecznie i owacyjnie. Koncerty krakowskie, złożone z utworów muzyki ludowej, spotkały się z gorącem przyjęciem tak krytyków jak i słuchaczy, świadczące o wysokim poziomie kultury muzycznej u Słowian południowych i ich artystycznym smaku.

Oklaskiwano gorąco produkcye wokalne przedstawicieli bratniego narodu, któremu również, jak i nam, udało się, dzięki wojnie, skruszyć pęta wiekowej niewoli.

We środę dnia 2 lutego b. r. odbyło się na krakowskim Uniwersytecie uroczyste przyjęcie uczestników Chóru.

Na uroczystość tę przybyła tłumnie publiczność i młodzież akademicka. Do gości, którzy zajęli pierwsze miejsca przemówił rektor Uniw. Jagiel. Estreicher, który przybył na uroczystość w gronie profesorów. Serdeczne swoje przemówienie zakończył mowca okrzykiem na cześć Chorwacyi.

Imieniem młodzieży akademickiej przemówił p. Wł. Zalipski, na co odpowiedział prezes chóru „Mladost“ p. Lokowic, który dziękując za przyjęcie podniósł wysoki poziom kultury polskiej, o której przekonał się zwiedzając polskie miasta. Kultura polska nie ustępuje — mówił mowca — niczem kulturze francuskiej i włoskiej.

Po przemówieniach goście odśpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła“, a następnie swój narodowy hymn.

Francya, a rozbrojenie Niemiec.

W ubiegłym tygodniu zebrała się w Paryżu Rada Najwyższa. Na porządku dziennym obrad znajdowała się kwestya rozbrojenia Niemiec i odszkodowania, mającego być przez nie zapłaconem. Jest to jedno z głównych postanowień traktatu wersalskiego, nie mogące się, dzięki różnicy zdań między aliantami, doczekać ostatecznego załatwienia. Francya była stale za tem, aby odnośne punkty traktatu były jak najściślej wykonane, Anglia, a za jej dyktandem i Włochy, starały się o ich złagodzenie. Nagle obudziło się w Anglii litościwe serce, które nie pozwalało jej pozbawić Niemcy obrony przed rosnącem coraz bardziej niebezpieczeństwem bolszewizmu, co się zaś tyczy odszkodowania, narazić je na ruinę finansową. Stany Zjednoczone i Japonia nie wiele sobie robią z tego, co się dzieje w Europie. Ich uwaga zwrócona jest w inną stronę, tutaj rolę swą uważają za skończoną.

Poczuwszy zatem sprzyjający podmuch wiatru, wiejący właśnie z tej strony, z której zapowiadały



Jugosłoweńscy goście w Krakowie: Członkowie akad. chóru „Mladost“ po uroczystem przyjęciu w auli Uniwersytetu krakowskiego w dniu 2 lutego b. r.

strony, a następstwem tego były ciągłe zbrojenia, idące w nieskończoność.

I Ameryka zatem, to jest Stany Zjednoczone, nie zasypia gruszek w popiele, ale wbrew zapewnieniom, że wojna położy kres intrygom dyplomacyi i wynikającym z nich zbrojeniom, sama pomnaża, jak o tem zresztą poprzednio donosiliśmy swą flotę wojenną i rozwija nader wytężoną akcyę dyplomatyczną i to głównie w Ameryce.

Z chwilą ujęcia steru rządu w swe ręce przez



Nowy kierunek w Ameryce. Prezydent Harding witany owacyjnie przez tłumy po powrocie z podróży do stanów południowych.

republikanów, zmienił się też gruntownie i kierunek polityki, tak zagranicznej, jak wewnętrznej. Stojąc na punkcie zapatrywania, że postanowienia traktatu wersalskiego muszą być wykonane, rząd Hardinga nie wiele się zresztą troszczy o to, co się dzieje za oceanami, baczną uwagę natomiast zwracają na swoją półkulę, która zdaje się być w niedługim czasie podstawą do objęcia roli kierowniczej w polityce światowej. Ekonomicznie jest już cały świat zależny od Stanów Zjednoczonych, to zaś pociąga za sobą zależność w każdym innym kierunku.

Przyznać trzeba, że do objętej roli przygotowuje się rząd Stanów Zjednoczonych bardzo poważnie i skrupulatnie. Wierny zasadzie, że „Ameryka dla Amerykanów" ogranicza tu Harding swą działalność na Amerykę. Kierunek jego polityki jest przecież więcej odmienny od tego, jaki prowadzili jego poprzednicy. Przedewszystkiem więc stara się usilnie o wygładzenie tarć między Stanami południowemi i północnemi, stale patrzącemi się z nieufnością, co przyczyni się do uporządkowania stosunków wewnętrznych i wzmocnienia państwa, na zewnątrz zaś pragnie nawiązać jak najlepsze stosunki z republikami południowo- amerykańskiemi z którymi dotąd Stany zbyt mało się liczyły. Dziś przecież wiedzą, że ich poparcie jest niezbędne, aby zagarnąć panowanie nad całym światem.

Stany południowe odwiedził sam Harding, spotykając się wszędzie z nadzwyczajnem przyjęciem i uznaniem dla dotychczasowej polityki, do republik południowo amerykańskich wyjechała specyalna delegacya złożona z wybitnych dyplomatów i osób ze stanu wojskowego pod przewodnictwem sekretarza Stanów Colby Sails. Do podróży użyto jachtu prezydenta *Mayflower*.

Ten kierunek polityki, jest z punktu zapatrywania amerykańskiego bardzo racyonalny, te podróże polityczne i zbrojenia świadczą przecież, że dyplomacya i militaryzm nie straciły bynajmniej swego znaczenia, że zatem... wojna światowa chybiła celu.

Odpowiedzi od Redakcyi:

Czytelnikowi: Podobizna majora Pryzińskiego zamieszczona w 4-tym numerze naszego pisma do artykułu p. t. „Bohaterskim szlakiem szóstej Dywizy." podaje go jako szefa sztabu, ponieważ w owym czasie pełnił rzeczywiście tę funkcyę. Obecnym szefem sztabu VI. Dywizyi jest major St. Miniewski.

Rozwiązanie zagadek z Nru 4.

Logogryf: S, Iza, włóka, Pasek, Ito, brama, Rodoć, bryka, iwa, glina, ..aźń, syn, a.

Trójkąt magiczny: Witajcie i iloczyn, Turcya, agawa, Jena, cis, If, e

Zgłoskówka: Krakowskie dzieci.

Zadanie do uzupełnienia: Trevir, statut, Rimini, Litwos, Mariot.

Okienko: Linde, narty, etyka.

Grzebieniówka: Rota, a, Soda, z, Epir, w, Sara, k, Iran.

Kwadrat magiczny: Linde, siedm, konak, winda, Linde.

Kwadrat magiczny: Meta, Egon, tory, anysz.

Kryształówka: L, Sas, Litwa, Latinik, kanon, Nil, k.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Kanarek Sanok Z. Zawadzki Wadowice, S Sygowska Rzeszów, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Grabowski Wadowice, H. Nowicka Warszawa, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Antosz Lwów, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Zamocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, J. Martynowicz Kielce, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Polek Lwow, S. Nowacki Lwów, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnow, W. Rozwadowski Poznań, M. Wacyk Lwów, M. Więckowski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków, S. Zajączkowski Rzeszów, J. Opolski Łódź, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, K. Dębicki Sambor, K. Lipski Wiedeń. M. Mańkowska Warszawa, K. Wacławik Łódź, S. Balicki Radom. W. Raczyński Kraków, K. Borkowski Kraków, W. Śmieszek Lublin, M. Sochacka Kraków, J. Bielawski Rzeszów, S. Sokołowski Lwów, J. Jabłoński Lublin, J. Weber Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) Z. Zawadzki, Wadowice (Album), 2) H. Nowicka, Warszawa (Kalendarz). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Nadesłane.

Już wyszedł pierwszy zeszyt Biblioteki Nowości p. t.

„Józia — legionistka".

W ostatnich czasach daje się u nas odczuwać silnie brak dobrych, popularnych książek które w formie belletrystycznych opowiadań przedstawiałyby barwnie i zajmująco wypadki współczesnego życia, tak bystrą obecnie toczących się falą. Żołnierz polski stał się ukochaniem społeczeństwa, ku niemu zwracają się wszystkie patryotycznie czujące serca. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o tych żołnierzykach naszych, i odaj myślą złączyć się z nimi, przeczytać w jesienny czy zimowy wieczór coś o ich przygodach na froncie bojowym, na kwaterze, na urlopie, nanizać jasnej perły bohaterstwa na jedną nitkę z koralami czerwonemi jak róże miru z błyszczącymi paciorkami żartu i humoru.— Wydawnictwo „Biblioteka Nowości" ma wypełnić tę lukę, a chcąc dawać społeczeństwu rzeczy prawdziwie wartościowe, zaprosiło do współpracownictwa wybitne pióra autorskie. Jako pierwszy zeszyt ukaże się pełne wdzięku opowiadanie p. t.: „Józia — legionistka".

Cena egzempl. 15 mrk., z przes. poczt. 17 mrk. Zamówienia przyjmuje Administr. „Nowości Illustrowanych", Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95

JUŻ WYSZEDŁ

Kalendarz familijny na rok 1921

CENA 15 Mkp.

Dla odsprzedawców stosowny opust.

Do nabycia w Administr. „Nowości illustr." Kraków Kazimierza Wielkiego 95.



WŁASNY WYRÓB BLOCZKÓW

KASOWYCH, BIUROWYCH, KIESZONKOWYCH

POLECA PO CENACH NADER PRZYSTĘPNYCH

ADMINISTRACYA „NOWOŚCI ILLUSTROWANYCH"

KRAKÓW, KAZIMIERZA WIELKIEGO 95. TELEFON Nr. 479.

Na żądanie przy większych zamówieniach wydrukowanie firmy dla P. T. Kawiarń, Cukierni, Restauracyi, Księgarni, Składów papieru i Konsumów

Zamówienia przyjmuje Administracya Nowości Illustrowanych Kraków, Kazimierza Wielkiego 95

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył J. B., Kraków.

Z dwu się przecież części składam,
Acz zawieram trzy syllaby,
A choć śledzie tylko jadam,
Mam też pewne swe powaby.
Tych co może zbyt szerokie
Wiedli życie w karnawale,
Nawołuję do pokuty,
I do przerwy w tańca szale,
Czas pomyśleć i o duszy.
Czas roztrząsnąć swe sumienie,
Wyjdzie na tem dobrze zdrowie,
Niemniej także i kieszenie.
Pierwsze nazwa duchownego,
Drugie ryba, i już gotów,
Masz szaradę rozwiązaną,
Bez zachodów i kłopotów!



Trójkąt magiczny.

Ułożył Podskakiewicz, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwę pewnej części roku:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Część świata: 3. Postać z naszych dziejów, 4. Miejscowość we Włoszech,, 5. Swięty byk u Egipcyan, 6. Ozdoba mężczyzny, 7. Miara powierzchni, 8. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył X. Y., Poznań.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Smiała z gry pysków.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1 A. Gruszeckiego „ o ślubie" (powieść); 2) Kalendarz familijny na r. 1921.

Gdzie
zakupię najlepiej instrumenta lekarskie
i
apteczną galanterję



TYLKO!
DOSTAWCA KLINIK UNIW. JAGIELLOŃSK.
SZPITALI KRAJOWYCH i WOJSKOWYCH.
STANISŁAW BARAN
SP. Z O.O.
!KRAKÓW SŁAWKOWSKA 6!

TARG POZNAŃSKI
odbędzie się w Poznaniu
od 5 maja do 5 czerwca 1921
TARG POZNAŃSKI 1921
Wystawa wzorów przemysłu
wszelkiego rodzaju.
Informacyi udziela i przyjmuje zgłoszenia
MIEJSKI URZĄD TARGU POZNANSKIEGO
Poznań, Nowy Ratusz.
Adr. teleg.: „TARG" Poznań. Tel. 4251.

Pióra boa fantazyjne
kwiaty sztuczne
poleca hurtownie i detalicznie
Wincentyna Górska
w Krakowie, Floryańska 18.

Najskuteczniejsza reklama na prowincyi!!
„ZIEMIA LUBELSKA"
(Lublin, ul. Kościuszki 9)
Największy polski dziennik prowincyonalny
Szesnasty rok istnienia.
Jedyny w Królestwie Polskiem dziennik prowincyonalny wychodzący DWA RAZY DZIENNIE.
Szeroko rozpowszechniony na prowincyi Królestwa Polskiego i Małopolski zwłaszcza na terenie wielkiego i bogatego Województwa Lubelskiego, liczącego 3 miliony mieszk.
Najlepsze na prowincyi miejsce ogłoszeń.

Za nadesłaniem przekazem z góry kwoty 50 Marek wysyła Księgarnia katolicka Dra Władysława Miłkowskiego w Krakowie opłatnie najlepszy zbiór pieśni narodowych p. t. „Pieśni polskie" ozdobnie oprawne w czerwone płótno angielskie ze srebrnym orłem na wierzchu.

Wielkie korzyści
PP. Kupcom i Przemysłowcom
przynosi
abonowanie poniżej wymienionych w calej Polsce znanych i jedynych pism fachowych:
tygodnik „Kupiec" prenumerata kwart. M. 28·—
„ „Drogerzysta" „ „ 28·—
„ „Przegląd włóknisty" „ 28·—
mies. „Dom gościnny" „ „ 9·—
Zeszyty próbne wysyłamy za nadesłaniem
2 Marek.
Adres zamówień:
POZNAN, UL. WIELKA 18.

MROZAN
Oddawna wypróbowany
najlepszy i najskuteczniejszy
środek przeciw odmrożeniu
Do nabycia w wszystkich drogerjach i aptekach.
Fabryka chemiczna „ROWA" Tczew (Pomorze).

Album Legionów Polskich
Zeszyt I.
Cena 20 marek
Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych".

W Administracyi Nowości Illustrowanych
jest do nabycia
Księga pamiątkowa wielkiej wojny.
(Kalendarz z 1914-15-16 roku).
Cena 30 Marek polskich.

ADMINISTRACYA Nowości Illustrow. odsprzedaje klisze cynkowe z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Wydawnictwo i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.